



Pochwała przyczynku

Adam Makowski

Pochwała przyczynku

Przyczynek nie ma wśród gatunków historycznoliterackich zbyt wysokich notowań. Jako nazwa rzadko dzisiaj używany, kojarzy się raczej z lekceważącym określeniem „przyczynkarstwo”, przydawany pracom użytecznym jako dodatkowe narzędzie w warsztacie polonisty, ale pozbawionym blasku gotowych wyrobów literaturoznawczego rzemiosła. Ciekawe, że ze skromnym przyczynkiem blisko sąsiaduje książkę twórczości obierającej sobie często za temat literaturę — esej. W tym ostatnim punkt wyjścia jest często identyczny — drobny fakt np. historycznoliteracki, który jednak ulega zupełnie innemu przetworzeniu; eseista swobodnie przestawia meble w literackim muzeum, tworząc niespodziewane konfiguracje, odkrywając ich nowe znaczenia. Przyczynek wyczerpuje się w swoim temacie, jego autorowi nie wolno niczego ruszać, wyposażony w pęk piór pracowicie usuwa kurz z zakamarków. Zajęcie bez wątpienia mało efektowne (o ile przyjmie się powyższą metaforę).

Pewnie dlatego *Szkice literackie* (jak informuje podtytuł) Marii Danilewicz Zielińskiej, pomieszczone w tomie o mało zachęcającym tytule *Próby przywołań*¹ określone są w nocie na okładce i we wstępie pióra Marka Zielińskiego mianem esejów. Mimo zrozumienia dla nobilitującej intencji tego nazwania, wypada stwierdzić, że szkice owe esejami nie są. I nic w tym złego — jak powiada Kierkegaard, „łosoś jest sam w sobie bardzo delikatną potrawą; jeśli jednak je się za dużo łososia, szkodzi to zdrowiu, jest to bowiem potrawa ciężka”. Podobnie chyba z esejem.² Jest też inny powód, który sprawia, że określenie to nie wydaje się adekwatne; sama autorka nie ma do niego bynajmniej pretensji, znacznie bliższa jej sercu jest właśnie skromna forma przyczynku. W tekście pisanym w 1943 r., na emigracji, która stała się dla pisarki życiowym wyborem, czytamy:

Jak rybie bez wody, poloniście ciężko i gorzko żyć w rozłące z własną bodaj domową biblioteką. Śni mi się po nocach Korbut, Kleiner i Kallenbach, trapi myśl o *Słowniku biograficznym* Polskiej Akademii Umiejętności i o wydaniu sejmowym Mickiewicza, zmontowanym z takim trudem i przerwany brutalnie przez wojnę. Czasem śnią się przyczynki i przyczynki do przyczynków — darujmy mu i tę słabość, pamiętając, że na wielki gmach naszej kultury składa się praca wielu pokoleń i wielu setek pisarzy. I w tym

¹ M. Danilewicz Zielińska *Próby przywołań. Szkice literackie*, wybór, oprac. i przedmowa M. Zieliński, Warszawa 1992, Biblioteka „Więzi”.

² Por. na przykład rozumienie esaju w książce A. S. Kowalczyka *Kryzys świadomości europejskiej w eseistyce polskiej lat 1945–1977* (Vincenz — Stempowski — Miłosz), Warszawa 1990.

jej siła, że jest dziełem nie tylko wybitnych jednostek, ale i wspólnym dorobkiem całego społeczeństwa w ciągu długich stuleci [s. 191].

Ta deklaracja, w której równie wiele modestii, co mało fałszu, pozwala przypuszczać, że jej autorka nie liczy się w poczet owych wybitnych jednostek, zadowolając się rolą jednego z wielu budowniczych. *Próby przywołań* dowodzą, że na takim stanowisku pracy można zdziałać wiele dobrego.

Szkice, czy raczej przyczynki Danilewicz Zielińskiej charakteryzuje upodobanie do szczegółu historycznego, przekonanie o jego doniosłości w kształtowaniu faktury czasu przeszłego, który wypełnia nie odnotowywaną w podręcznikach historii literatury przestrzeń między jej kamieniami milowymi. Autorka koncentruje się na biografiach wybitnych pisarzy lub ludzi, którzy się o literaturę tylko otarli, wnosząc w nią choćby mimowolny wkład; dzieła traktuje raczej jako dokumenty — chętniej zresztą i częściej posiłkuje się listami lub dziennikami. Wskazuje to na bardzo tradycyjny sposób stawiania literaturoznawczych pytań i tak jest w istocie; Danilewicz Zielińska przyjmuje za cel wniknięcie w psychikę pisarza, czy raczej uzupełnienie, pogłębienie jego psychologicznego wizerunku. Tak jest w szeregu szkiców analizujących różne momenty życia Mickiewicza, czy w pracy o — jak mówi tytuł — „zmiennych kolejach przyjaźni” między Zygmuntem Krasińskim i Henrym Reevem. Jest jednak coś, dzięki czemu owo tradycyjne ujęcie, zastosowane przez autorkę, nie sprawia wrażenia anachronizmu, coś co nadaje mu raczej urok stylu retro. Czynnikiem tym jest powściągliwość cechująca niezmiennie wszystkie teksty z omawianego tomu. Powściągliwość ta ujawnia się w poprzestawaniu na konstatacji faktów i ich zestawianiu, ale postępowania tego nie należy mylić z oschłością i brakiem wyobraźni. Miejsce dla tej ostatniej otwierają dyskretnie sugestie, nigdy jednak stanowcze i — co tu kryć — łatwe wnioskowania genetyczne. Podobieństwa między losami Conrada i Malinowskiego istnieją rzeczywiście, ale autorka nie żąda, aby z nich coś wynikało, choć z pewnością pamiętamy o nich podczas lektury; analogii dla Mickiewicza piszącego w dramatycznych chwilach życia *Pana Tadeusza* szuka autorka u Sienkiewicza nie po to, by pisarzy porównać, lecz by ich lepiej zrozumieć:

Tak też, i także ku pokrzepieniu siebie i innych — rodzić się będzie po latach dzieło innego kalibru, ale podobnie polskości zasłużone: *Ogniem i mieczem*, pisane przy łożu umierającej żony i w najcięższych miesiącach świeżej żaloby. Samoobrona organizmu? Ucieczka od rzeczywistości? — czy też plon „tygodni i miesięcy, w których człowiek nie czuje się zdolnym gadać z drugimi, chociaż myśli o nich” — i dla nich pisze [s. 188–189, w cudzysłowie cytata z listu Mickiewicza].

Owo, by tak rzec, *moderato* dyskursu nie niesie ze sobą chłodu, jest

raczej wyrazem szacunku autorki dla ludzi i zjawisk, które są nam dane jedynie w odległych zbliżeniach, dzięki niemu psychologia nie drażni psychologizmem, genetyzm utrzymuje się w ryzach, szukanie wpływów nie przeradza się we wpływolegię. Jeśli dodamy do tego przesycenie narracji o przeszłości detalami dnia codziennego, zharmonizowanie z nią głosów uczestników zdarzeń (przywoływanych w mowie zależnej) i imponującą, dyskretnie dozowaną erudycję — otrzymamy obraz przyczynku, którego lektura może być (choćby bezinteresowną) przyjemnością.

Jak się więc wydaje, tytuł zbioru szkiców Danilewicz Zielińskiej grzeszy skromnością, zawartość tomu przekonuje, że „próby” można by z powodzeniem usunąć. Przywoływana historia wychodzi na spotkanie.

Adam Makowski

Jak czytać poematy

Jacek Łukasiewicz nie należy do autorów kwestionujących klasyczny model kultury, epatujących odmiennym odczuwaniem rzeczywistości czy choćby nowatorską koncepcją literatury. Raczej afirmuje tradycyjne wartości, stabilizuje i utwierdza czytelnika w porządku odziedziczonym po poprzednikach, konsoliduje zdezintegrowaną percepcję. Nie przypadkiem zatytułował swój szkic o Urszuli Kozioł z roku 1965 *Świat integralny*. Również współpraca z „Tygodnikiem Powszechnym” i „Więzią” sytuuje go w kręgu pisarzy, którym bliski jest teocentryczny, harmonijny i zhierarchizowany obraz świata. Jego piarstwo już od debiutu u boku m. in. Herberta i Grochowiaka w PAX-owskim almanachu *...każdej chwili wybierać muszę* określone jest przez wspólnotę doświadczenia polityczno-obyczajowego z pokoleniem Współczesności oraz podejmowanie problematyki etyczno-metafizycznej. Obok poświęconego częściowo problematyce generacyjnej tomu *Szmaciarze i bohaterowie* główną pozycją krytyka pozostaje *Laur i ciało* — książka podejmująca analizę współczesnych stylów mówienia o pejzażu i ludzkim ciele oraz nawiązywania do tradycji. Analiza nie traci z pola widzenia podstawowego problemu, który przez autora sformułowany został następująco: „Czy poezja dziś stwarza, ocala integralny obraz świata” (*Laur i ciało*, s. 174). Nostalgia za archaiczną harmonią obecna jest również w jego najnowszej książce — *Oko poematu*¹, w której

¹ J. Łukasiewicz *Oko poematu*, Wrocław 1991, Wydawnictwo Dolnośląskie.